

Kto tu właściwie głuchy?

Kultury dzień powszedni

O pokoleniu mającym przytępi-
ony słuch, nie słyszącym mu-
zyki, napisano i powiedziano
już tyle, że podziw wzbudza odwa-
ga rozprawiania o głuchocie owej.

Jedź po świecie i po naszym
kraju. Jeśli przyrównam życie mu-
zyczne krajów skandynawskich, Bel-
gii, Francji czy Wielkiej Brytanii z
tym, co się dzieje na „głuchej pro-
wincji” między Odrą i Bugiem, to
jakoś nie mogę popaść w kompleks
nizszości. Wprost przeciwnie. Moi
zachodni koledzy, trudniący się u-
powszechnianiem kultury, zazdro-
szą nam zawodowych filharmonii
czy orkiestr symfonicznych w każ-
dym mieście wojewódzkim, zorgani-
zowanej akcji koncertów umuzykal-
niających, gesty sieci szkół muzycz-
nych różnych stopni, półtora tysiąca
dobrych i doskonałych chórów ama-
torskich licznych festiwali muzycz-
nych, stowarzyszeń przyjaciół mu-
zyki itp. Wiele z nich ma lepszą o-
rientację w tym wszystkim co się
dzieje u nas niż nasi rodacy. A już
najmniej wie się o społecznych ogn-
iskach muzycznych. Właśnie im
tych kilka uwag poświęcam.

Są to placówki kulturalne szcze-
gólnego rodzaju. Narodziły się w
Polsce i stanowią naszą specyfikę
wśród znanych w całym świecie in-
stytucji krzewiących kulturę muzycz-
ną. Są to kilkuletnie społeczne szko-
ły muzyczne dla dzieci, młodzieży i
dorosłych. Ale obok funkcji dydak-
tycznych ogniska upowszechniają w
środowisku kulturę muzyczną. Orga-
nizują koncerty, wycieczki na koncer-
ty, gawędy i prelekcje muzyczne,
kluby słuchania nagrań (taśmy, pły-
ty) itd. W ewidencji Ludowego In-
stitutu Muzycznego znajduje się
12 000 takich społecznych ognisk, w
których łącznie kształcą się ponad 55
tysięcy osób. 219 państwowych szkół
muzycznych I i II stopnia obejmuje
łącznie 28 700 uczniów. Społeczne
ogniska muzyczne kształcą więc
dwukrotnie większą liczbę osób niż
PSM, i co szczególnie ważne — zlo-
kalizowane są głównie na wsi oraz
w małych miastach. Wyznacza to wy-
jątkowo doniosłą funkcję kulturalną
tych placówek, co nie zawsze jest na-
leżycie doceniane.

Wystarczy wspomnieć, że na u-
trzymanie ognisk rodzice i dorośli
uczniowie wpłacili w roku 1967 oko-
ło 82 mln. zł, podczas gdy w tym
samym czasie dotacje rad narodo-
wych (łącznie z pomocą w postaci

instrumentów muzycznych) wynosi-
ły 2 070 000 zł, a więc zaledwie 2,5
proc. W tej sytuacji wiele ognisk
nie ma dostatecznej ilości instrumen-
tów muzycznych. Dochodzi nawet do
tego, że zdolna młodzież robotnicza
i chłopska nie może być przyjęta do
ogniska, jeśli nie stać ją na opłate-
nie czynnego bądź zakup własnego in-
strumentu.

Oczywiście nie dotyczy to wszyst-
kich środowisk. W województwie bia-
łostockim, kieleckim, lubelskim, łódz-
kim, olsztyńskim, szczecińskim i zie-
lonogórskim rady narodowe udzie-
lają dotacji stowarzyszeniom ognisk
muzycznych. Wprawdzie są to kwoty
skromne (od 90 tys. w kieleckim
do 600 tys. w zielonogórskim), ale
umożliwiają usuwanie rażących nie-
dostatków. Szkoda, że zrozumienia
tego nie wykazują prezydja rad na-
rodowych w woj. gdańskim, katowick-
im, rzeszowskim, Krakowie, Łodzi
itd.

W tym stanie rzeczy stowarzysze-
nia społecznych ognisk muzycznych
(a jest ich 20, dwa dalsze w organi-
zacji) ledwie wiążą koniec z końcem
i nie zawsze mogą fundować stypen-
dia czy udzielać zwolnień od opłat
niezamożnym uczniom. Oczywiście,
koszty utrzymania ognisk są znacz-
ne i nie rozwiążą ich w żadnej mie-
rze opłaty uczniów. Różnice pokrywa-
ją stowarzyszenia ze składek człon-
ków indywidualnych, (25 365 osoby
w 1967), ze wsparcia udzielanego im
przez niektóre rady narodowe i 76
instytucji (głównie zakłady pracy).
Ilość tych właśnie członków zbioro-
wych jest niestety nader skromna.

Widać z tego, że nie grozi nam głu-
chość muzyczna, bo znaczne grupy
społeczne znalazły się w kręgu od-
działywania muzyki i do odbioru
dział muzycznych są systematycznie
przygotowywane. A jeśli już mówić
o głuchocie, to raczej pod adresem
tych, którzy nie słyszeli dotąd, że
coś się w tym kraju zmienia. Nawet
na tak zwanej głuchej wsi. Ogłuchły
też niektóre rady narodowe, nie
zawsze radę — jak dowiedziono —
umuzykalnianiu młodzieży. Przysła-
łoby się też obudzić z głuchej ciszy
zakłady pracy, instytucje spółdziel-
cze i niektóre organizacje społecz-
ne. Żeby się jednak zdecydowały do
pomocy dzieciom swoich pracow-
ników.

**ZJAZD
PZPR**

Nie bez zdziwienia,
a i satysfakcji prze-
czytałem w artykule
Wojciecha Burtowego
pt. „Kto zaśpiewa Ga-
udeamus” (Głos Tygo-
dnia” nr 353 z 4 VIII
68 r.), że w egzami-
nach wstępnych na
Uniwersytecie po-
znańskim, „najlepiej” zdawała mło-
dzież pochodzenia chłopskiego, z ko-
lei młodzież pochodzenia rzemieślni-
czego i robotniczego, najgorzej mło-
dzież inteligencka. Jako syn chłopski
niejednokrotnie zabieram głos w o-
bronie młodzieży wiejskiej, jej pra-
wa do równego startu na wyższe u-
czelnie, a co za tym idzie — do póź-
niejszego wpływu na bieg spraw pu-
blicznych.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że
warstwa inteligencka — również jej
część pochodzenia robotniczo — chłop-
skiego, przyjęła ostatnie decyzje o
dodatkowych punktach za pochodze-
nie społeczne z dezaprobatą. Działają-
ce mechanizmy socjologiczne zwią-
zane z przechodzeniem jednostek z
grupy do grupy i z klasy do klasy
sprawiają, że stając się inteligenta-
mi synowie chłopów czy robotników
reprezentują z czasem interesy
sprzeczne z interesami warstwy, z
której wyszli. Głębia owego rozbratu
z własną klasą uwarunkowana jest
osobistymi doświadczeniami życiowy-
mi, a także świadomością społeczno-
polityczną i wrażliwością moralną.

Klasycznym przykładem takiej
konfliktowej sytuacji jest właśnie
opór niemal wszystkich inteligentów
bez względu na ich pochodzenie,
przeciw stosowaniu pewnych prefe-
rencji przy egzaminach wstępnych
na wyższe uczelnie wobec dzieci ro-
botniczych i chłopskich.

Piszę te słowa będąc pod wraże-
niem niedawnej dyskusji wokół przy-
jęć na wyższe uczelnie w takim właś-
nie gronie ludzi. zajmujących w do-
datku raczej eksponowane stanowis-
ka.

Feliks Biłos

„Gaudeamus” zaśpiewają najlepsi

— To jawna dyskryminacja — wo-
łał jeden z nich — żeby moje dzie-
cko zostało wyeliminowane przez ko-
goś, kto umie mniej tylko dzięki
„darmowemu” punktowi. Liczyć się
winna wiedza i tylko wiedza, a na
uczelnie z ich ograniczonością miejsc
winni dostać się tylko najlepsi.

Mnie oczywiście chodziło o to sa-
mo, a przecież nie mogliśmy się po-
rozumieć. Słowo „najlepsi” jest bo-
wiem rozciągliwe i wieloznaczne. W
zależności od przyjętych kryteriów
można ono oznaczać różne, a nawet
wykluczające się wartości. Tak na
przykład wybitnie zdolni i utalento-
wani w jednym kierunku rzadko wy-
kazują się piętkami z każdego
przedmiotu; zwykle nie zdradzają
też skłonności do pracy społecznej —
postawy życiowej szczególnie cenio-
nej w naszym ustroju. Kandydaci na
studentów wywodzący się z rodzin
robotniczo — chłopskich często nie
mają ani świetnych ocen matural-
nych, ani w pełni uświadomionych
zainteresowań i uzdolnień nauko-
wych. Zbyt wiele bowiem niekorzyst-
nych czynników hamuje formowanie
się potencjalnych zdolności i zamię-
wań, trudnych do wykrycia w trak-
cie krótkiej egzaminacyjnej próby.

Wszystkim oponentom pomocnicze-
go kryterium punktowego, zwłaszcza
zaś tym, którzy zapomnieli o trud-
nej drodze własnego dzieciństwa, a
także o tym, że kiedyś właśnie dzie-
ki podobnej klauzuli mogli studio-
wać, godzi się przypomnieć pewne
obiektywne prawdy. Przede ws-
kim ciągle niższy poziom życia kul-
turalnego na wsi i w większości
dział robotniczych nie stwarza dzie-
cku właściwego klimatu i bodźców
rozwoju umysłowego. Braku tego nie
można wyrównać szkołą — z reguły
o niższym poziomie nauczania, bory-

**GŁOS
Tygodnia**
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 354 11 VIII 1968 Rok VIII

Do połowy września zamknęły
się podwoje Biura Wystaw Ar-
tystycznych — największej po-
znańskiej galerii sztuki współ-
czesnej; plastycy i studenci

PWSSP rozjechali się na plenery i
wczasy. Spróbujmy dziś z pewnego
dystansu, w miarę na ile na to po-
zwala temat, podsumować wyniki se-
zonu artystycznego poznańskiej pla-
styki i placówek wystawienniczych,
określić jakie miejsce zajmuje o-
becnie w całej współczesnej plasty-
ce polskiej środowisko poznańskie.
Nie wydaje się jednak tym razem
słuszne omawianie kolejnych wy-
staw, przypominanie wszystkich
mniej lub więcej udanych ekspozy-
cji. Pisanie o tym zresztą na bieżąco
w recenzjach i sprawozdaniach z
wystaw. Chciałbym więc ograniczyć
się do jednego tylko bardzo dziś ży-
wo zresztą dyskusowanego proble-
mu: sztuki zaangażowanej. Tej pla-
styki, która chce wyrażać nadzieje,
troski i myśli artystów, która chce
służyć swemu krajowi. Czym w tej
materii może wykaże się środowi-
sko poznańskie. Jak rysuje się bi-
lans jego aktualnych możliwości i do-
konań artystycznych w tym wzglę-
dzie?

Wokół sztuki zaangażowanej naro-
dziło się ostatnio wiele nieporozumień.
Różnie ten problem widzą w dysku-
sjach sami artyści, krytycy i działa-
cze. Jeszcze kilka lat temu, w okre-
sie triumfu abstrakcji, na pytanie
czy funkcje malarstwa obejmują
również zakres treści politycznych,
społecznych, filozoficznych lub ideo-
wych, większość malarzy skłonna by-
ła dać odpowiedź zdecydowanie ne-
gatywną. Sztuki plastyczne — twier-
dzili oni — stały się za sprawą no-
watorskich koncepcji artystycznych
XX wieku dziedziną autonomiczną,
rządzoną przez własne problemy
estetyki i warsztatu, wszelkie próby
włączania do nich elementów poza-
plastycznych mogły tylko zepchnąć
je na pozycję tradycyjnej realistycz-
nej plastyki XIX wieku, do której
nie ma już powrotu. Podkreślali też,
nie bez słuszności, że te funkcje prze-
jęła od malarstwa i innych technik
warsztatowych sztuka użytkowa: pla-
kat, monumentalne realizacje pomni-
kowe, grafika i ilustracja książkowa,
obraz audiowizualny w kinie, tele-
wizji, teatrze.

Mimo to jednak nawet sami arty-
ści zaczęli dostrzegać, że przez her-

Olgiard Błazewicz

Młoda plastyka w natarciu

metyzm swych poszukiwań warszta-
towych utracili w znacznej mierze
odbiorcy dla tej najistotniejszej czę-
ści swej twórczości i pozostali ze
swą sztuką w swych galeriach i sa-
lonach wystawowych sami. I, że po-
dzielił na dwie różne specjalizacje:
społecznie użyteczną w sztuce użyt-
kowej i artystowską, eksperymental-
ną na wystawach, na dłuższą metę
nie jest do utrzymania. Na tym tle
ogromnego znaczenia zaczęła nabie-
rać przed paroma laty idąca z zach-
odu przez cały świat fala nowej sztuki
ki wyrażeniowej: pop-artu, nowej
figuracji, sztuki imaginacyjnej, sur-
realnej.

Tendencje te stosunkowo szybko
w Polsce wzbudziły zainteresowanie
młodych malarzy. Sztuka wyrażeni-
owa o prymacie treści i emocji nad
estetyką i warszatem otwierała dla
nich na nowo utraconą szansę mó-
wienia o sprawach współczesności
obrazami, a przy tym przeciwstawi-
ała się koncepcjom malarzy poprzed-
nich generacji. Cały problem młodej
plastyki sprowadza się już dziś de-
facto do tego tylko aby nadać jej —

Jak na tym tle przedstawia się sy-
tuacja w Związku Plastyków? Po-
wiedzmy sobie z góry — nie najle-
piej. Starsi malarze, ogólnie rzecz
biorąc, nie mają zaufania do tej no-
wej sztuki. Dla nich magiczną, a do
dajmy tu jednak w jakimś sensie
uzasadnioną siłę ma memento socre-
alizmu. Stworzył on pewien kanon
estetyczny przeciwko któremu w 1955
z buntowali się malarze, wybierając
później orientację na sztukę bez-
przedmiotową. Ten kanon zdają się
jednak obecnie przełamywać właśnie
młodzi malarze.

Bądźmy jednak szczerzy, niebez-
pieczeństwo zwększowania tzw. sztuki
ki zaangażowanej na stare pozycje
w jakimś sensie istnieje nadal. Pojawia
się ono wtedy, gdy na gruncie este-
tyki kolorystycznej i poabstrakcyj-
nej próbuje się tworzyć tematyczne,
treściowe obrazy, z akcentem ideo-
wym sztucznie doczepionym do obra-
zu. Na tym tle zrozumieliem stają się
dopiero niepowodzenia artystyczne
licznych prób jakie artyści naszego
środowiska podejmowali wielokrot-
nie np. w trakcie plenerów letnich
WKZZ w Koninie; gdy chcieli zwi-
ązać się z współczesnymi problemami,
ale nie umieli zrezygnować z estety-
ki ukształtowanej z myślą o całkiem
innym działaniu obrazu.

Problemem możliwości znalezienia
dla siebie własnego miejsca w sztuce
polskiej poznańskiego środowiska
plastycznego jest więc nadal trudny.
W tym względzie poznański oddział
ZPAP niewiele po prostu w tym se-
zonie miał w skali ogólnopolskiej do
powiedzenia. Nowego dowodu na to
dostarczyła np. niedawno wystawa
plenerowa rzeźby „Merkury 68”.
Wielkim uproszczeniem, a nawet i
zwulgaryzowaniem, spraw sztuki by-
łoby jednak twierdzenie, że tylko
pod kątem nośności treściowej rzeź-
by czy obrazu można oceniać prace
malarzy, grafików czy rzeźbiarzy.
Obok nurtu próbującego dialogu z
współczesnością — rozwija się prze-
cież nadal bujnie ten drugi nurt
współczesnej plastyki, zapatrzonej w
sprawy estetyki i warsztatu. I w
tym nurcie, jak to dowodzi jednak
np. obecna ogólnopolska wystawa fe-
stiwaliowa w Szczecinie, malarze po-
znajscy tracą raczej swą dobrą nie-
gdys pozycję.

Ogólnie rzecz biorąc więc w tym
roku ocena sezonu artystycznego wy-
pada raczej na korzyść młodych ma-
larzy, niż ich starszych kolegów. Mo-
że dopiero przyszły sezon pokaże w
szerszym zakresie kontrofensywę
środowiska poznańskiego „Arsena-
łu”.

POKŁOSIE SEZONU

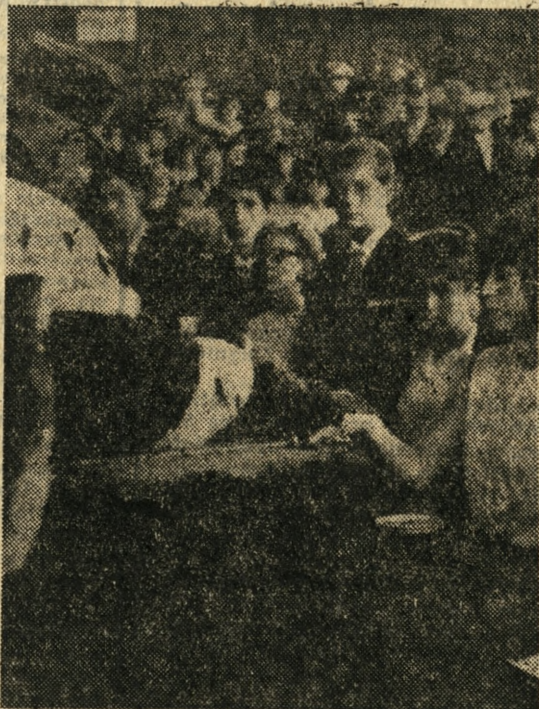
mimo jej niewątpliwie obecnej gene-
alogii — własny, polski, zaangażowa-
ny w naszą konkretną rzeczywistość,
charakter.

W tegorocznym sezonie wystawo-
wym ścieranie się tych dwóch ten-
dencji: zachowawczej, reprezentowa-
nej przez twórców starszej i średniej
generacji, i nowej, preferowanej
przez młodych ludzi i ich profesorów
z uczelni, wywarło dość istotne pię-
tno na życiu wystawowym plastyki
pознаńskiej. Z tej konfrontacji sta-
nowisk i sił w przekroju ostatnich
dwóch sezonów zdaje się wychodzić
zwycięsko młoda plastyka, mimo że
dla wielu jej przedstawicieli sztuka
ta jest w gruncie rzeczy tylko wiel-
ką przygodą, wycieczką w nieznane,
gra i żonglerka problemami a mało
jeszcze sztuką serio, uprawianą na
własny rachunek. Kilka wystaw mło-
dych malarzy i grafików np. pokaz
dorobku artystycznego „Grupy Czer-
wiec”, wystawa malarstwa Jana
Switki czy wielka wystawa pokon-
kursowa, wystawa prac studentek
PWSSP na inaugurację „Salonu Mło-
dych Twórców” w Pałacu Kultury,
stały się już jednak poważnymi wy-
darzeniami w skali nie tylko same-
go Poznania. Pojawiały się nawet opi-
nie, że to właśnie Poznań stał się
dziś stolicą, głównym ośrodkiem kra-
jowym młodej plastyki.

w interesie tych klas społecznych, w
imieniu których sprawuje władzę.
Ludzie, którzy wywalczyli dzisiaj in-
deksy wejdą bowiem kiedyś w skład
kadr kierowniczych gospodarki, ad-
ministracji, techniki, nauki i kultu-
ry. Od ich poziomu fachowego oraz
ideowo — moralnego zależeć będzie
bieg spraw publicznych i kształt so-
cjalizmu w naszym kraju. Nie bez
znaczenia wreszcie jest i to, że wy-
kształcenie studenta kosztuje średnio
100, a na pewnych kierunkach nawet
500 tysięcy złotych. Pieniądze te są
własnością społeczną, jako że pocho-
dzą z pracy nas wszystkich. Społec-
zeństwo musi więc mieć jakąś gwa-
rancję, że ci, którzy ten dług zacią-
gają, zwrócą go kiedyś z nawiązką.

Oczywiście, klauzula punktowa nie
jest i nie może być panaceum zapew-
niającym w sposób trwały prawidłowe
formowanie kadr młodej intelli-
gencji. Jak stwierdza to zresztą odpo-
wiedni fragment Tez na V Zjazd
PZPR: „problem ten musi być roz-
wiązany przede wszystkim drogą od-
powiedniej rozbudowy sieci szkół
średnich i internatów przy tych szko-
łach oraz kierowania do szkół na pro-
wincji wysoko kwalifikowanych na-
uczycieli”. Dopóki postulat ten nie zo-
stał spełniony, czynnikiem zapew-
niającym prawidłową strukturę mło-
dzieży akademickiej, a tym samym
prawo równego startu życiowego mło-
dzieży ze wszystkich środowisk spo-
łecznych, powinien zabezpieczać wła-
śnie system punktowy.

Wypowiadając swój sąd w tej wiel-
ce kontrowersyjnej kwestii, zdaje
sobie sprawę, że w pewnym sensie
działam — jako inteligent pierwsze-
go pokolenia — wbrew własnym in-
teresom i interesom moich dzieci. No
cóż, będą dokładać starań, aby mogły
one znaleźć się wśród tych najlep-
szych, dla których zapewne miejsce
nie zabraknie.



„...ludzie, którzy wywo-
lali dzisiaj indeksy, wejdą
kiedyś w skład kadr kie-
rowniczych gospodarki,
administracji, techniki, na-
uki i kultury...”

Rot. — „itd”

W sierpniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku wyjechałem na urlop do pewnego uroczego uzdrowiska w zalesionej kotlinie nad rzeką, która gwałtownie wzbierała na wiosnę i latem, gdy w górach spadały ulewne deszcze. Na dworze nikt mnie nie odprowadził. Zona była zajęta dwurocznym synkiem, który zachorował na koklusz, zresztą znajdowała się w piątym miesiącu ciąży i ze względów „estetycznych” unikała spacerów po mieście.

Punktualnie o trzynastej zjawiłem się na peronie s.a.m. jak mężczyzna wolny, nie skompromitowany rozgdaną żoną, którą częste rodzenie pozabawiło tzw. figury, niezależny i co najważniejsze w szampańskim humorze. Napotkanym dziewczętom patrzyłem odważnie w oczy, uśmiałem nawzajem rozmowę z urzędniczką za okienkiem kasy biletowej, a pewną panią w kiosku z piwem oświadczyłem, że jest miła. I cóż w tym złego?

Właśnie zaczęły się najpiękniejsze dni w roku, usankcjonowane cyrografem referatu kadr, który stwierdzał, że „Obywatel Stefan S. wyko rzystuje”... itd. Trochę mnie ten go-dziwy wypoczynek kosztował, ale przecież nieźle wtedy zarabiałem, pracując (nawet po nocach) do tego stopnia, że musiałem zażywać witaminy, kwas glutaminowy i tabletki na uspokojenie nerwów. Na ogół to mi pomagało. Tylko raz odwiedziłem sanatorium, gdzie brałem kąpiele kwaso-węgłowe i uprawiałem szwedzką gimnastykę. Palilem u-miarkowanie i w zasadzie nie upija-łem się. Do gier hazardowych czu-łem wstręt. Rodzinę (przynajmniej teoretycznie) uważałem za podsta-wową komórkę społeczną. Sumując, byłem osobnikiem dość zdrowym, dobrze odywionym, o temperament-cie, któremu można by postawić czwór-kę z plusem i w miarę przystojny. Mówiło się o mnie: równy, fajny chłop.

Zająłem miejsce w przedziale trzeciej klasy. Przy drzwiach siedziała jakaś kobieta, na którą początkowo, zaintrygowany uciekającymi drzewami i domami, nie wróciłem uwagi. Zwinęła się w kłębuszek jak kot. Dopiero, gdy pociąg minął kamienio-lomy w I. zauważyłem, że spod zmrużonych powiek obserwuje wąski korytarz wagonu. Jej twarz była uderzająco blada, podłużna, o wy-stających kościach policzkowych, nietutejsza.

Jechaliśmy coraz szybciej. — Czy mógłby pan przymknąć okno? — powiedziała miękko, z kre-sowym akcentem — trochę mi dusz-no...

Spełniłem jej życzenie, po czym w celu podtrzymania obiecującej wymiany zdań zaproponowałem, że o-tworzę wywietrznik.

— Zgadza się — rzekła z udaną powagą.

Była bardzo ukiadna, bardzo grze-czna, nawet ZA BARDZO GRZECZ-NA. Ta gładkość, mówiąc językiem sprawozdawców sportowych wybiła mnie nieco z uderzenia.

Tym niemniej należało atakować. Gdy po chwili uczyniłem ruch, że-by zasłonić firanką szybę, za którą w przejściu trątkowało kilka ucze-nic z włosami zaczesanymi w „koń-ski ogon”, sprzeciwiła się delikatnie i stanowczo. Wciąż była zaabsorbo-wana korytarzem.

— Zdaje się, że nie mamy opóź-nienia... — bąkałem.

Zerknęła na zegarek.

— Chyba nie.
— Pani do Krakowa?
— Tak, a pan?
— Też.
— Pięknie... — uśmiechnęła się.
— Z daleka? — spytałem.

Nie odpowiedziała, jakby urażona moją ciekawością. Milczeliśmy. Bez przerwy obserwowała korytarz. Na-gle w jej niebieskich oczach pojawił się lek, czoło pokreśliły zmarszczki pionowe, poziome, ukośne... Zmieni-ła się nie do poznania, na kurczowo zacisniętych ustach zawisł krzyk, jakieś słowa nie wypowiedziane do końca. Zakrywając rękami twarz, skuliła się w swym kącie. Widzia-łem tylko gęste, przetykane siwizną, włosy, między palcami błyszczały rozgorączkowane żrenice.

W drzwiach wyrosła postać w mundurze. Otyły, dobroduszy fun-kcjonariusz kolejowy w płaszczu do ziemi, z żółtą opaską na ramieniu.

— Bileciki, proszę państwa... —

— Dlaczego pan mi się przyglą-da? — spytała dobrotliwie.
— Tak sobie.
— Ciekawski — rzekła z lekką na-ganą.

Widząc, że się co nie co ze mną oswoiła, zaryzykowałem po raz dru-gi:

— Skąd pani jedzie?
— Byłam u rodziny... rzekła szyb-ko i znowu w jej wzroku pojawiło się coś niby okrucich strachu, dro-binka tego, co wybuchło w niej, gdy usłyszała zbliżające się kroki kon-duktera, gdy dostrzegła jego mun-dur, a więc mundur i potem mun-dur żołnierza, który spał teraz ma-lowniczo z otwartymi ustami i dy-szał ciężko, jakby się chciał obudzić i nie mógł.

— Szanuję więzy rodzinne — uś-łowałem zbagatelizować jej rozter-kę.

— No, no — zgodziła się skwapli-wie.

Uśmiechając się sympatycznie (i szczerze) poczę-stowałem ją lan-drynkami, które podobno rozwiązu-ją język, działają inspirująco na u-mysł. Miałem wpra-wę w prowoko-waniu kobiet do zwierzeń, lubiłem te niewinne za-grywki, skracające długą podróż na nieciekawej trasie.

Wyczułem, że nawet wbrew obec-ności żołnierza i groźbie powrotu konduktera jest skłonna wygadać się, powiedzieć mi w s z y s t k o, u-cieszona i szczęśliwa, że spotkała wreszcie kogoś godnego zaufania.

— Jesień... — rzekła, ssąc cukie-rek. Za oknami wagonu falował las od spodu nakrapiany fioletowymi plamkami wrzósów.

— Zupełnie jak u Wyczółkowskie-go. Czy pan oglądał jego kwiaty? — ciągnęła z upodobaniem — one po-siadają ludzkie wnętrza, dusze, są płaczące, napuszone, groźne, śmie-szne...

Zachwyciła się glicyniami: — Przecudne glicynie! — dodała z „ro-biona” egzaltacją. A jednak zależa-ła jej na zmianie tematu! Z równym powodzeniem mogła skomentować ostatni rekord Zatopka.

— Czy pani wraca do sanatorium?

— Nie — powiedziała cicho, a jej oczy zasnuł cień przepływających za-torem sosen.

O technice przy śniadaniu

Szanujmy nerwy...

Nigdy sobie człowiek nie u-świadomiamy w tym stopniu niebezpieczeństwa dla uszu, spowodowanego rozwojem techni-ki i rozpowszechnianiem się roz-maitych urządzeń technicznych, co właśnie latem. Zamknięty sło-t na jesienią lub mroźną zimą w czterech ścianach pokoju korzy-sta tylko z tego, co mu aktualnie potrzeba i chwali sobie tylko wy-rękę i rozrywkę, jakiej dostarcza-ja mu urządzenia techniczne.

Co innego latem, szczególnie w niedzielę, kiedy pragnący odpoc-zynku człowiek wybiera się na tak zwane łono natury. Po podró-ży obfitującej w nieprzewidziane urozmaicenia dociera w końcu do miejsca przeznaczenia i z ulgą wy-szukuje kawałka wolnej prze-strzeni nad rzeczką, jeziorkiem lub zalewem. Wkrótce jednak o-kazuje się, że jest mu konieczne potrzebna muzyka typu „mocne uderzenie”. Tak sądzą zapewne niektórzy z przybyłych w to sa-mo miejsce na wypoczynek i nie-zwłocznie po zainstalowaniu się uruchamiają swe odbiorniki tran-zystorowe, szczerze obdarzając wszystkich obecnych dźwiękami płynącymi z głośników.

Wówczas ogarnia nas zdziwie-nie, że takie postępy osiągnięto już w budowie kieszonekowych tranzystorowych hałaśliwców — i przerażenie na myśl o zbliżają-cych się nieuchronnie czasach, gdy co trzeci turysta będzie wła-ściwie przenośnym telewizorem! Marzy się po prostu o cudzie, któ-ry by mógł sprawić, że nie słyszeli-byśmy muzyki dobiegającej z rozmieszczonych przeciętnie co 5 metrów „tranzystorów”.

I nagle — ten cud staje się rze-czywistością.

Na wodzie pojawiają się ślizga-cze, ryczące silnikami tak donoś-nie, że nie słychać własnych słów. Z rozrzuconiem wspomni-na się poprzedni koncert na czter-naście głośników — jako oazę ci-

szy i harmonii. I tak upływa dzień, podsycając w człowieku na-dzieję, że wreszcie po powrocie do domu wypocznie w spokoju.

Nie sposób jednak latem sie-dzieć w mieszkaniu przy zam-kniętych drzwiach. Otwiera więc okna swego mieszkania i deli-kwent, otwierają i jego sąsiedzi. Jeden z nich ogląda telewizyjną transmisję meczu. To jeszcze moż-na znieść, jako że komentatorzy telewizyjni nie szafują zbyt szczerze słowami — wyrzucając z siebie jedynie co pół minuty nazwisko gracza aktualnie kopią-cego piłkę. Gorzej, gdy inny są-siad słucha koncertu piosenek, odtwarzanych przez głośniki z ta-ką intensywnością, że nie byłby ich w stanie zagłuszyć nawet łoskot silników odrzutowca.

I tak wreszcie upływa dzień letniego wypoczynku.

Czytacie Państwo te uwagi śle-dziennika z uśmiechem politowa-nia, a może nawet z oburzeniem: cóż to on sobie myśli! Cóż to za pustelnicze wymagania! Przyna-ję, przesadziłem, ale czy znowu tak wiele? Lekarze zgodni są co do tego, że hałas, towarzyszące współczesnemu życiu — zwłasz-cza w wielkich miastach odbija-ją się wysoce niekorzystnie na zdrowiu mieszkańców. Nie tylko ulega upośledzeniu narząd stu-chu, ale zaatakowany zostaje uk-lad nerwowy. Zapewne właśnie w nieustannym działaniu hałasu mają źródło liczne przypadki roz-drażnienia, bólów głowy, bezsen-ności.

Powiedzmy sobie szczerze, że w warunkach cywilizacji techni-cznej hałas jest plagą nie do uni-knięcia. Można jednak i to bez wielkich kłopotów go ograniczyć — jeśli rozsądnie działaniu hałasu mają źródło liczne przypadki roz-drażnienia, bólów głowy, bezsen-ności.

Powiedzmy sobie szczerze, że w warunkach cywilizacji techni-cznej hałas jest plagą nie do uni-knięcia. Można jednak i to bez wielkich kłopotów go ograniczyć — jeśli rozsądnie działaniu hałasu mają źródło liczne przypadki roz-drażnienia, bólów głowy, bezsen-ności.

ELEKTRON

Przeglądamy Prasę

SKUTECZNA BRON PRZECIW ANTYKOMUNIZMOWI

Wielokrotnie cytowane w tym miej-scu Życie literackie i tym razem w swoim komentarzu tygodnia sięgnęło po nie-zmiennie aktualny temat. Z cyklu „Z mojego obserwatorium” W. M. pisze w zwięzły z niedawnym wspólnym Oświadczeniem opublikowanym po partyjnym spotkaniu radziecko-czecho-słowackim:

„Oświadczenie opowiada się za rzetel-ną oceną przeszłości i teraźniejszości na-szego budownictwa socjalistycznego — przeciw szkalowaniu zasług i roli prze-wodniej partii. Przeciw klasyfikowaniu marksizmu na stary i nowy, na gorszy i lepszy. Za uaktywnieniem klasy robot-niczej i umacnianiem jej kierowniczej roli w łonie naszych społeczeństw. Przeciw lekceważeniu niebezpieczeństwa imperialistyczno-bońskiego, za nieslabną-cym umacnianiem naszych granic za-chodnich i układu warszawskiego jako podstawowego czynnika pokoju w Europie...”

Oświadczenie potwierdza prawo każ-dego narodu do budowania socjalizmu zgodnie ze specyfiką i warunkami każ-dego kraju; nie ma sprzeczności między własną drogą do socjalizmu, własnym stylem pracy i internacjonalizmem prole-tariackim, między pryncypialnością i de-mokracją socjalistyczną, między tworzącą demokracją wewnętrzną i centralizmem demokratycznym — z myślą, że te im-ponderabilia służą odporowi na ataki i knowania kół reakcyjnych, że są bro-nią przeciw wszelkim nadziejom sił antykomunistycznych.

ZRÓDŁA SIŁY LITERATURY

Cytując jedną z tez na V Zjazd PZPR, że „literatura i sztuka winny odzwier-ciedlać w nowym i coraz bogatszym kształcie artystycznym prawdę naszego życia” Tygodnik Kulturalny piórem Ste-fana Melkowskiego doszukuje się przy-czyn, dla których nasza obecna litera-tura ma tak luźny związek ze społeczeń-stwem. W konkluzji artykułu pt. „Powrót do źródeł” czytamy:

„Wyjście jest tylko jedno: powrót do źródeł. Nawrót do narodowej tradycji, nastawienie na wyrażanie specyfiki na-szej kultury, naszej historii, naszej tra-

dycji, nadanie polskości rangi uniwer-salnej i przywrócenie w ten sposób nor-malnej wymiany wartości między nami a Europą — to najpilniejsze zadania sto-jące przed polską literaturą i polską kulturą.

Ale narodową tradycję utożsamia-my tu programowo z tradycją ple-bejską i tradycją ludową. Nie jest to zresztą tylko programowe założenie, ale teza, którą można próbo-wać udowodnić na podstawie dzieł literatury polskiej...”

MŁODZIEŻ NA SZPALTACH

Wystąpienia i manifestacje młodzie-ży obserwowane ostatnio w wielu krajach zwróciły uwagę opinii publicznej, licznych naszych periodyków, na ten aktualny temat. W studenckim itd Napoleon Fortini przedstawia sytuację w ruchu studenckim krajów Wspólnego Rynku, które są obecnie najsilniejszym ośrodkiem tych manifestacji. Walka Młodych publikuje artykuł „Komputer i jego karty” Zygmunta Broniarka o podłożu wydarzeń spowodowanych przez młodzież amerykańską. W tym samym tygodniku Monika Wameńska wspo-mina swój pobyt w NRF. „Za mało jest ludzi, którzy mają odwagę myśleć” konkluduje autorka w tytule i pisze na ko-niec:

„Młodzi ludzie z Heidelbergu i Stutt-gartu, z Monachium i Norymbergi. Roz-wydrzeni, niespokojni, często anarchicz-ni. Zadający nieoczekiwane pytania i energicznie domagający się na nie od-powiedzi. Młodzi ludzie dyskutujący na ulicach, idący w pochodach... Jacy oni są? To pytanie padnie później wielo-krotnie w kraju. Nie wiem. Cały mój notatnik podróży po NRF znaczący jest pytańkami. Gdy chodzi o własną oj-czynę, o jej pokój, o przyszłość, gdy chodzi o kraj po własnej ojczyźnie naj-bliższym sercu, o Wietnam krwawiący na drugim krańcu świata — nie wolno dać się unieść fali zbyt taniego optymizmu. Ponad transparenty i okrzyki, nad por-trety prezydenta Ho i „Che” Guevary niesione w pochodzie, wyrasta złowro-gie widmo. Ogień smąka wieczorny mrok, płoną podpalone rękami NPD-ow-ców czerwone flagi na ulicy Hanoweru. Słyszę wciąż okrzyki przeciw agresji USA w Wietnamie. — leż słyszę także donośnie skandowane wołania: „Lieber Tot, als Rot”. I słyszę miarowy marsz Bundeswehry”.

Młodzież niemiecka jest również przedmiotem rozważań pt. „NRF — opo-zycja młodych” Andrzeja Wieluńskiego w Argumentach.

TRAGIZM ENCYKLIKI

Po ogłoszeniu niedawno encyklikę Pawła VI „Humanae Vitae” w sprawie regulacji urodzin i stosunku do tego problemu kościoła sięgają obecnie Kierunki. Życie Literackie piórem Iga-niego Krasickiego („Czytając encyklikę”) tak oto komentuje ten dokument:

„Nowa encyklika jest więc naszym zdaniem bardziej adresowana do samego kościoła aniżeli do świata zewnętrznego. Może w tym tkwi właśnie jej największy tragizm, będący niczym innym jak odbiciem kryzysu strukturalnego, w któ-rym pogrążony jest kościół. Im bardziej pragnie on odbudować związki ze świa-tem zewnętrznym, akomodując do jego wymogów czyli do tzw. „znaków czasu” swoją naukę i organizację, tym ostrzej występuje wewnętrzne różnicowanie kościoła. Im czujniej — z drugiej strony — zapobiega tej dezintegracji wewnętrznej, kładąc nacisk na tradycyjne aspekty wiary i moralności, tym więcej od-biega od witalnych ośrodków laickiej współczesności. Z tego kryzysu nie ma wyjścia”.

PROPONUJEMY

Podczas niedzielnej lektury proponu-jemy ponadto sięgnąć po wywiad Motoru z dyrektorem zarządu ruchu drogowego Komendy Głównej MO, któ-ry omawia przyczyny rosnącej liczby wypadków na drogach; po Kulturę, gdzie T. A. Jacewicz rozpoczyna cykl brytyjskich „Pożegnaj z imperium”; po Prawo i Życie z artykułem Kazimierza Kąkła pt. „Patriotyzm i polityka” — na temat Powstania Warszawskiego. Ty-godnik Demokratyczny zamieszcza z kolei niektóre dokumenty z tego Po-stawienia. Siegnijmy także po Argumenty w których Kazimierz Wyka pisze na te-mat „Historia i świadomość narodowa”. W „Polityce” w ramach wolnej tribuny wypowiada się Alfons Klafkowski na temat „Organizacja nauki — krytyka i propozycje”, tam również Marian Pod-kowski rozpoczyna cykl „Polska — NRF”. Na łamach „Życia Gospodarcze-go” trwa dyskusja o problematyce wzro-stu spożycia, której dotyczą artykuły Grzegorza Pisarskiego i Antoniego Wiatrowskiego.

LEKTOR

Źródłowe prace o teatrze

Zakład Historii i Teorii Teatru Instytutu Sztuki PAN, mający w swym dorobku liczne monografie z zakresu historii polskiego teatru dawnego i współczesnego, jak również dziełw teorii teatru i krytyki teatralnej, koncentruje obecnie swe prace wokół dwóch poważnych dzieł: „Słownika biograficznego teatru polskiego” i „Bibliografii dramatu polskiego (1750—1964)”. Obydwa mają się uka-zać w 1970 r.

Praca zbiorowa „Słownik biograficzny teatru polskiego (pierwsza tego rodzaju w Polsce), której zaczątkiem stały się zbiory wybitnego historyka teatru prof. Stanisława Dąbrowskiego, obejmie sześć tysięcy haseł. Znajdą się tu dane dotyczące życia i działalności zmarłych do 1965 r. ludzi teatru: aktorów, reżyserów, scenografów, choreogra-fów i in. Wydawnictwo to ukaże się pod redakcją doc. dr. Zbigniewa Raszwskiego nakładem PWN.

Praca nad „Bibliografią dramatu polskiego (1750—1964), zapoczątko-wana przed wybuchem drugiej wojny światowej przez Ludwika Si-mona, który doprowadził ją do 1939 r., jest obecnie kontynuowana do czasów współczesnych przez dr. Stanisława Marczak-Oborskiego. Czytelnik znajdzie tu nie tylko pełny obraz polskiej twórczości dra-matycznej, ale i wiadomości o premierach i cenniejszych przedstawie-niach teatralnych. Wydawnictwo ukaże się pod redakcją prof. Ta-deusza Siverta nakładem PIW.

Jesienią br. Zakład Historii i Teorii Teatru przystąpi do wstępnych prac nad zbiorowym, monumentalnym dziełem, którego brak daje się poważnie odczuć — „Historia teatru polskiego”. Obejmie ono czte-ry tomy: teatr staropolski, teatr wieku Oświecenia, teatr XIX wieku i teatr współczesny. (PAP)